

KAPUCYNI ⁱ MISJE



Biuletyn Misyjny Zakonu Braci Mniejszych Kapucynów – Prowincji Krakowskiej

ISSN 1642-8897, rok 2023, nr 1



*Misja w Sudanie Południowym
rozpoczęta*



Drodzy przyjaciele misji kapucyńskich!

Nie powinno nikogo dziwić, że w ostatnim czasie w Biuletynie poświęcamy tyle miejsca pierwszej kapucyńskiej misji w Sudanie Południowym. Można to porównać do troski i poświęcenia czasu przez rodziców pierwszemu dziecku. Nie zapominamy bynajmniej o misjonarzach w Republice Środkowoafrykańskiej, Czadzie, Gabonie czy Algierii. Założenie misji w Sudanie Południowym jest historycznym wydarzeniem dla kapucynów z Krakowa, gdyż jest to pierwsza placówka misyjna całkowicie zależna od naszej Prowincji. Działania misyjne Prowincji Krakowskiej były podejmowane do tej pory we współpracy z innymi Prowincjami Zakonu, które już prowadziły misje. Mówiąc kolokwialnie, w Sudanie Południowym zaczynamy od zera. Po miesiącu od oficjalnego założenia placówki nastąpiły małe zmiany. Ustaliliśmy bowiem z ks. biskupem Sephenem, że przejmujemy pod opiekę parafię Robkona wraz z obozem dla wewnętrznych uchodźców, który liczy ok. 140 tys. ludzi. Na jego terenie znajduje się dziesięć kaplic Kościoła katolickiego. W samym Robkona nie ma gdzie mieszkać, więc bracia na razie mieszkają „kątem” na plebanii w parafii Bentiu wraz z ks. Wiliamem. Być może, dopóki nie zbudują czegoś w Robkona, zamieszkają ze względów praktycznych w obozie dla uchodźców. W najbliższych miesiącach się to rozstrzygnie. Na początku pracy misyjnej najważniejszym wyzwaniem dla misjonarza jest poznanie języka tubylców. Język plemienia Nuer, które zamieszkuje ten region prawie w stu procentach, nie należy do łatwych. O skali trudności tego języka dla obcokrajowców może świadczyć wypowiedź ks. bpa Christiana Carlassare. Ten włoski kombonianin powiedział nam w ten sposób: „Po dwóch miesiącach kontaktu z tym językiem jesteś w euforii, po sześciu miesiącach – całkowicie załamany, po dwóch latach - rozumiesz co do ciebie mówią”.

W oparciu o notatkę Biura Prasowego Kapucynów - Prowincji Krakowskiej, która ukazała się 2 lutego na stronie www.kapucyni.pl pragnę przypomnieć jak doszło do po-

wstania placówki misyjnej w Sudanie Południowym: „Bracia kapucyni z Krakowa od wielu lat są obecni w Afryce. Posługują jako misjonarze w Republice Centralnej Afryki, w Czadzie, w Gabonie i w Algierii. Lista nie jest jednak zamknięta. Kilka lat temu, jako próba odpowiedzi na potrzeby Kościoła, pojawiła się idea pójścia tam, gdzie Zakon nie był jeszcze obecny.

Wybór padł na najmłodsze państwo świata, targane ciągłymi wojnami i należące do najuboższych regionów świata: Sudan Południowy. W listopadzie 2019 r. na zaproszenie Stowarzyszenia Pomoc Kościołowi w Potrzebie przyjechał z wizytą do Polski bp Stephen Nyodho Ador Majwok z Sudanu Południowego, z diecezji Malakal. Podczas swojej wizyty w naszym kraju odwiedził krakowskich kapucynów. Spotkanie z nim potwierdziło zasadność dokonanego wyboru i pozwoliło poznać bliżej problemy tego młodego Kościoła. Na jego zaproszenie dwóch braci udało się z krótką wizytą do jego diecezji, aby rozeznać możliwości założenia misji. Po przeprowadzeniu rekonesansu, Kapituła Prowincjalna Kapucynów w 2020 roku uchwaliła projekt nowej misji, a Minister Generalny Zakonu wyraził na nią zgodę. W następstwie tych decyzji 1 marca 2022 wyjechał do Sudanu Południowego pierwszy misjonarz kapucyński, brat Robert Wiczorek, który przez 25 lat posługiwał w Republice Środkowoafrykańskiej. Kilka dni temu dołączyli do niego kolejni bracia: Artur Ziarek, wieloletni misjonarz w Czadzie i Augustyn Chwałek, rozpoczynający doświadczenie misyjne. Na inaugurację działalności polskich kapucynów w Sudanie Południowym udali się wraz z nimi brat Marek Miszczyński, Minister Prowincjalny oraz brat Jerzy Steliga, sekretarz misji.

2 lutego 2023 roku, w święto Ofiarowania Pańskiego, została założona pierwsza wspólnota misyjna Braci Mniejszych Kapucynów – Prowincji Krakowskiej w Bentiu (diecezja Malakal) w Sudanie Południowym. Ten ważny dla braci kapucynów moment zbiega się z pielgrzymką papieża Franciszka, który przybywa do Sudanu Południowego z przesłaniem pokoju i pojednania, bowiem mimo dominującej obecności chrześcijan, region ten ciągle nękany jest bratobójczymi wojnami. Bracia Kapucyni, synowie św. Franciszka, zgodnie z duchem Założyciela, chcą stać się narzędziami pokoju i nieść „miłość tam gdzie panuje nienawiść, jedność tam gdzie panuje rozłam, nadzieję tam gdzie panuje rozpacz” (frag. Modlitwy franciszkańskiej).

Dziękuję Wam, drodzy Czytelnicy, Darczyńcy za to, że wraz z nami niesiecie Ewangelię na krańce świata. Dzięki Waszemu wsparciu bracia misjonarze prowadzą ludzi do Boga i Boga im dają, szczególnie w sakramentach świętych. Niech obfitość łask Bożych spływa do Waszych serc i je uświęca – o to modlimy się nieustannie.

br. Jerzy Steliga, sekretarz misyjny



Od lewej: br. Jerzy Steliga, br. Artur Ziarek, br. Augustyn Chwałek, bp Stephen, br. Robert Wiczorek, br. Marek Miszczyński.



Kochani Przyjaciele Misji

W Boże Narodzenie życzymy sobie często pokoju, aby pokój chrystusowy zagościł w naszych sercach i zapanował między ludźmi.

W Wielkanoc życzymy sobie nadziei i zwycięstwa, ale nie takiej i takiego, jakie proponuje świat. Nasza nadzieja i zwycięstwo oparte są na spotkaniu z Chrystusem Zmartwychwstałym, który żyje i już więcej nie umiera. Tylko w Nim i z Nim zwyciężamy wszelkie przeciwności na drodze do zbawienia.

Niech Zmartwychwstały Zbawiciel przyjmie nasze modlitwy o pokój, zgodę, nawrócenie ludzkich serc, by Królestwo Boże, które jest pośród nas rozrastało się i wzbudzało w ludziach pragnienie osiągnięcia go w pełni.

Błogosławionych Święt Zmartwychwstania Pańskiego.

br. Jerzy Steliga
sekretarz misyjny



Przysłowia w języku ngambay

pisze br. Piotr Walocha, proboszcz parafii Bam w Republice Czadu

W okresie Wielkiego Postu jesteśmy zaproszeni przez Słowo Boże i nauczanie Kościoła do pokuty i nawrócenia serca. Celem pokuty i nawrócenia w życiu chrześcijańskim jest uleczenie i polepszenie naszych relacji z innymi ludźmi, aby były one zawsze oparte na wzajemnym przebaczeniu, szacunku, życzliwości w słowach i gestach braterskiej miłości. O takich postawach w naszych ludzkich relacjach przypominają nam również przysłowia ludowe w Czadzie. Oto kolejne przysłowia w języku ngambay, które uczą nas podstawowych zasad zachowania wobec osób, które spotykamy w codziennym życiu.

„Ngon law ge kara ndole tar unda ne mareje”.

Ngon - dziecko
law - inicjacja
ge - który
kara - jeden
ndole - szukać
tar - problem
unda - spadać
mareje - inni

Tłumaczenie: Jeśli osoba, która przeszła inicjację, popełni coś złego, wszyscy poddani inicjacji będą musieli ponieść konsekwencje.

Morał przysłowia: Należy być przezornym, ostrożnym wobec grupy osób, do której się przynależy, ponieważ można płacić konsekwencje za czyn, którego się nie popełniło.

Przykład: Pewien uczeń napisał na ścianie obrażające słowa przeciwko swojemu nauczycielowi. Na początku lekcji

nauczyciel pyta uczniów, kto napisał ten tekst? Jednak nikt nie przyznał się do winy, więc nauczyciel ukarał całą klasę cytując przysłowie: „Jeden inicjowany popełnił błąd, więc wszyscy inicjowani będą ponosić konsekwencje”.

„Baw bisi a to be joo el”.

Baw - duży
bisi - pies
a to - ugryźć
be - wioska
joo - dwa
el - negacja

Tłumaczenie: Duży pies nie może pogryźć ludzi w dwóch różnych wioskach. Kiedy właściciel psa odkrywa, że pies może pogryźć ludzi, udaje się z nim do innej wioski, aby go sprzedać. Nie mówi przy tym, że jest to groźny pies. Jeśli w nowej wiosce, pies ugryzie kogoś, mieszkańcy wioski mówią: „Oto dlaczego sprzedano tego psa. Tak nie może być. Trzeba tego psa zabić”.

Morał przysłowia: Jeśli przebaczone nam jeden raz, nie powtarzamy tego samego błędu. Cierpliwość ma swoje granice i następnym razem może nie być nam przebaczone.

Przykład: Pewna kobieta została oddalona przez swego męża, ponieważ nie lubiła braci męża. Za rok wyszła ponownie za mąż. Jednakże tym razem zaczęła dobrze troszczyć się o swoich szwagrow. Znajomi tej kobiety widząc zmianę w jej postępowaniu, cytują przysłowie: „Jeśli raz ci przebaczone, nie powtarzaj więcej tego samego błędu”.



Trzy migawki z Sudanu Południowego

pisze br. Robert Wieczorek

Śmiech we łzach

Przyjeżdżając do Dżuby w przeddzień wizyty papieża Franciszka, trafiliśmy na ponadplanową „promocję”: dwa miejsca na spotkanie Ojca Świętego z uchodźcami z obozów wewnątrz kraju (jest takich kilkanaście). My przyjechaliśmy z delegacją naszych przesiedleńców z Bentiu (to największy tego typu obóz w całym Sudanie Południowym), ale na spotkaniu we Freedom Hall najwięcej było oczywiście osób z obozu POC (Protection of Civilians = Ochrona Cywilów), położonego zaraz pod Dżubą. No i najlicniejsi spośród wielu grup etnicznych to nasi Nuerowie, bo to oni, jako największe plemię w opozycji do rządzących Dinka, w konsekwencji przegranej konfrontacji najbardziej dostali po głowach. Po tym, jak w czasie walk w stolicy przed dziewięciu laty zostali zmasakrowani, schronili się pod skrzydła bazy ONZ i tak już zostało po dziś dzień.



Spotkanie papieża z uchodźcami.

Siedliśmy akurat w bezpośrednim sąsiedztwie grupy młodzieży ubranej w ładne uniformy – to był katolicki chór Nuerów, właśnie z tego obozu. Okazało się, że sympatyczna dziewczyna obok mnie zna angielski, więc zanim przybył papież, mieliśmy jeszcze trochę czasu, by porozmawiać. Bywając parę razy w Dżubie przez ostatni rok, jeździłem do ich obozu odprawiać Msze św. w Nuer, więc poznałem kaplice, w których się gromadzą. Mieliśmy o czym mówić.

Ale oto pojawił się Franciszek z jego ekumenicznym towarzystwem! Chór zerwał się do śpiewu z całych sił i z ustami pełnymi uśmiechów – miło było słuchać i patrzeć. Anglikański pastor animujący całe spotkanie wzywał po kolei delegacje poszczególnych obozów, by się pokazały. Popęłił przy tym faux pas, bo zapomniał o „tutejszych”, tych spod

Dżuby. Przez salę przetoczył się szmer. Gdy pastor się połapał, naprawiając czym prędzej swój błąd, na nogi poderwała się większa część zgromadzenia. W sumie z tej konfuzji było jeszcze więcej radości!

Zmierzam jednak do tego, co działo się niedługo po tej eksplozji entuzjazmu. Otóż zapowiedziano kilkuminutową prezentację obrazów z życia obozowiczów. Zacząłem rozpoznawać niektóre znane mi miejsca, więc spontanicznie obróciłem się do mej sympatycznej sąsiadki z chóru, by podzielić się z nią mą satysfakcją. I замуrowało mnie: ta roześmiana przed momentem dziewczyna teraz była cała we łzach. Rzut oka dalej: prawie wszyscy obok, zarówno dziewczęta, jak i chłopcy, płakali rzewnymi łzami, wpatrując się w duży ekran. Ktoś zawołał: „O, mój brat...!”. Odwróciłem się szybko z powrotem, by uszanować ich emocje. Nie trzeba mi żadnych więcej tłumaczeń tego, co w głębi serca odczuwają mieszkańcy obozów dla uchodźców w ich własnym kraju!

Już post factum osoba uczestnicząca w przygotowaniu tego spotkania dzieliła się swymi wrażeniami. Strona rządowa w ostatniej chwili zakwestionowała zasadność pokazania tego materiału filmowego i zażądała jego zdjęcia. Ale watykańscy realizatorzy postawili na swoim – poszedł w eter.

Na zewnątrz organizacja „pielgrzymki pokoju” wyglądała ładnie i poprawnie, ale na zapleczu było gorąco od emocji. Rebeka, katolicka dziewczyna z obozu w Dżubie mająca czytać swe świadectwo przed Ojcem Świętym, została zatrzymana przez ochronę na bramce i chcieli jej skonfiskować kartki z tekstem (czyżby obawiając się przemycenia jakichś kompromitujących materiałów?). Sprawa trafiła telefonicznie do ministra spraw wewnętrznych. Ostatecznie kartki z mową, choć wymiętolone, trafiły z powrotem w ręce dziewczyny.



Woda nie opada



Katolicka szkoła w Bentiu.

Dzieci na spotkaniu w Hali Wolności w Dżubie odważyły się powiedzieć przed papieżem, ale i całym oenietowsko-humanitarnym audytorium: „Cierpimy w obozie dla przesiedleńców. Życie w nim nam się nie podoba”. I nie było w tym niewdzięczności wobec tych, co przysyłają pomoc, ale realna prawda o anormalności takiej egzystencji. A Franciszek tym zdeprymowanym ludziom pozbawionym perspektyw odważył się odpowiedzieć: „Jesteście załóżkiem nowego Sudanu Południowego, ziarnem dla żyznego i bujnego rozwoju tego kraju. (...) Wy, którzy nie chcecie odpowiadać na zło większym złem, ale wybieracie braterstwo i przebaczenie – pielęgnujecie lepsze jutro”.

Exodus za ocean

Okazało się, że diakon czytający Ewangelię na centralnej Mszy świętej z papieżem pochodzi... z Bentiu. Mam jednak prawo go nie znać, bo przyleciał z Melbourne w Australii. George, postawny mężczyzna około pięćdziesiątki, ma co opowiadać o swym życiu, gdy później spędzimy razem parę dni na misji. Kolejne jego losy mogą być ikoną podobnych tysięcy.

Był tu kiedyś katechistą. Przed kilkunastu laty, jeszcze przed niepodległością, zdecydował się na dramatyczną decyzję: wyjazd za granicę. Ale nie do obozu dla uchodźców w sąsiednim kraju, tylko o wiele dalej. „Nie widziałem tu żadnej przyszłości dla moich dzieci” – krótko umotywował swój wybór. Wyruszyli na północ, by dotrzeć do Egiptu. To najłatwiejszy etap podróży, bo ze względu na wspólną historię, ten kraj nie robi Sudańczykom Południowym specjalnych trudności wizowych. Ale tam utknęli. Egipt wspomina źle. Wynajmowali jakąś klitkę na przemysłowym przedmieściu Kairu. Jako niewykwalifikowany robotnik przynosił do domu wypłatę odpowiadającą 50 dolarom amerykańskim miesięcznie. Nie sposób było za to przeżyć. Już żonie udawało się zarobić więcej dzięki dorywczej pracy przy sprzątaniu mieszkań. Mimo potężnych kłopotów wieczorami uczył jeszcze katechezy w parafii katolickiej Abbasiya. Podobnych mu losem współziomków zbierało się tam setki. We wspólnocie wierzących znajdował pociechę i niejednokrotnie wsparcie.

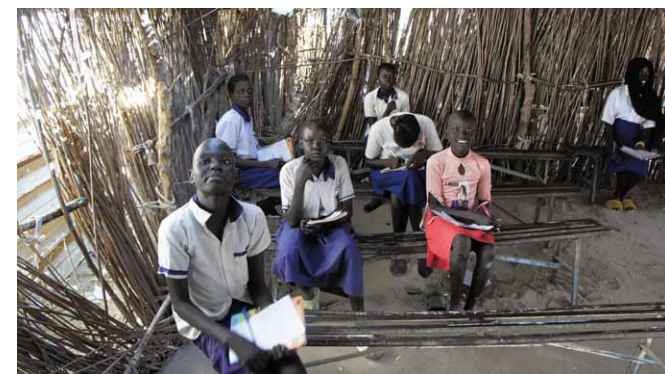
To bynajmniej nie była Hurgada. Egipt kojarzy się mu jednoznacznie – ze śmiercią córeczki. Zdiagnozowano u niej

poważną chorobę serca, stwierdzono, że potrzebna jest operacja. Ale za co ją leczyć? George przez cały czas nie ustawał w staraniach o wyjazd do któregoś z krajów zachodnich. Gdy początkowo przedstawiał siebie jako uchodźca na tle prześladowań religijnych (co było realnym doświadczeniem katechisty w Sudanie), muzułmańscy urzędnicy interpretowali to jako potwarz i robili mu trudności. Jego dossier utknęło w szufladzie na długie miesiące. Dopiero zmiana taktyki przyniosła owoce. Paradoksalnie, nieszczyćście w postaci choroby córeczki i konieczność szukania leczenia dla niej za granicą otworzył mu drzwi życzliwości.



Na przerwie w szkole.

Po trzech miesiącach rodzina otrzymała pozytywną odpowiedź z ambasady australijskiej. Zanim jednak zdążyli wyjechać, chore dziecko zmarło, nie doczekawszy pomocy. Zostawili jego grób w Egipcie. Choroba córki stała się dla rodziny biletem do lepszego życia, jakie zastali po drugiej stronie oceanu. Przyzwoite locum i wsparcie socjalne na początek, a żona w ostatnim miesiącu ciąży otrzymała nawet wyprawkę przed porodem – o czymś takim wcześniej nawet im się nie śniło. George jest jednoznacznie wdzięczny nowej ojczyźnie za przyjęcie. To było antidotum na lata nędzy zaznanej w czasie tułaczki.



W sali lekcyjnej.

Mieszkają w Melbourne. On, po urządzeniu się, znalazł swe miejsce w parafii, a po paru latach został wyświęcony na diakona stałego. Znajomość arabskiego i nuerskiego pomaga mu w lokalnym duszpasterstwie. Tamtejszą diasporę jego współplemieńców szacuje na przeszło 25 tysięcy. Dzieci studiuja i usamodzielniają się. Jego wysoki syn, ze względu na warunki fizyczne, ma nadzieję zrobić karierę w sporcie.



O kraju rodzinnym George nie zapomniał. Bywa tu, jak tylko sytuacja mu na to pozwoli. Przed kilku laty zorganizował w swojej wspólnocie w Australii akcję wsparcia budowy szkoły katolickiej w Bentiu. Na tę okazję przysłał kontener z różnymi sprzętami i masą książek. Niestety, zbiegło się to z wybuchem nowych walk. Kontener dotarł na miejsce i ocalał, znajdując schronienie w obozie dla uchodźców. Jednak budowa szkoły z prawdziwego zdarzenia na razie się odwleka, bo po niepokojach doszła jeszcze powódź, a w jej efekcie – izolacja, która uniemożliwia podjęcie jakichkolwiek większych inwestycji.

Pokolenie z za wałów

Plynieśmy łódką, by zobaczyć ruiny pierwotnej misji w Yoynyang. Według początkowych planów naszego biskupa, to tam mieliśmy się instalować, by przywrócić do życia miejsce o blisko stuletniej historii. Wszystko jednak spaliło powódź z listopada 2021 roku. Od tej pory cała rozległa okolica jest pod wodą – a ta ani myśli ustąpić. Sama lokalizacja misji została przez pierwszych misjonarzy wybrana mądrze, bo na minimalnym wzniesieniu. Dom i kościół, choć dziś w ruinach, nie są zalane. Pod same drzwi podpłynąć można łódką, a w środku jest sucho.

Ale zanim tam dopłyniemy, trzeba nam od przystani przemieszczać się wzdłuż chroniących miasto wałów. A pięciu białych na pirórze to nie lada atrakcja dla grupki wszechdobrych dzieci, gromadzących się nad wodą. Towarzyszą nam, biegnąc po ziemnym nasypie. Zdjęcia, które im robimy, przypominają kadry na ekranie teatru cieni. I co mnie uderza w tej scenie: jedyne zabawki w rękach kilku chłopców to małe imitacje karabinów maszynowych. Podziwiać można drobiazgową wierność detalom, z jaką zostały wykonane.



W drodze na misie Yovnyang

Gwoli sprawiedliwości, przy lotnisku natknąłem się kiedyś na chłopca z wierną kopią antonowa, a w mieście zdarzało mi się widywać dzieci skrajem drogi ciągnące na sznurku mini-tracki. No i z masy walających się wszędzie plastikowych torebek można łatwo sklecić latawcę...



Teatr cieni

Dzieci bawią się tym, czym żyją ich rodzice. Te zabawki-karabiny to lustrzane odbicie codziennej egzystencji. Żołnierka i rajdy pod bronią w otwartych samochodach terenowych to najbardziej chyba rzucające się w oczy zajęcie młodych mężczyzn. Co więc ich dzieciom pozostaje w głowach? I co kiedyś z tych dzieci wyrośnie?

„...doświadczymy biedy całej,
Gdy nam przyjdzie wytłumaczyć,
Gdzie czarne jest, a gdzie jest białe (...).
Polepszysz, czy pogorszysz sobą ten świat?
Kimś zostaniesz, czy za kimś w tyle ? (...)
Co ci będzie w duszy grało? (...)
Dom miał będziesz, czy mieszkanie?
Czy przeważy wszystko to,
Co ci w genach przekazałem,
Czy to drugie i zostaniesz kapitanem?”

– wieszczył kiedyś Andrzej Poniedzielski w „Pokoleniu zza franki”. W tej literackiej wycieczce do Polski pozwolę sobie spytać: a czym bawi się coraz rzadsza populacja dzieci w kraju nad Wisłą? Moja Mama po obejrzeniu zdjęć z Afryki powiedziała: „Przecież my, w powojennej nędzy, bawiliśmy się tak samo. Kawalek kija, rafka od roweru, albo gałgankowa lalka, jeśli sobie uszyłam...”. Za mojego dzieciństwa dziewczynki krzątały się przy mini-kuchenkach czy też marzyły o lalce-dzidziusiu, najlepiej ze smoczkiem i pozytywką imitującą płacz. Nie pomnę kiedy, ale już dawno te dzidziusie wyrosły na panienki Barbie... Dzisiejsze „zabawki” nie wychowują już koegzystujących z dorosłymi jedynaków do życia w rodzinie, opieki i poświęcenia dla innych, a tym bardziej do macierzyństwa. Co będzie z „pokoleniem zza ekranu” kolejnej generacji iPhone’a? To równie niepokojące pytanie, jak to o przyszłość dzieci z obozu uchodźców w Sudanie Południowym.

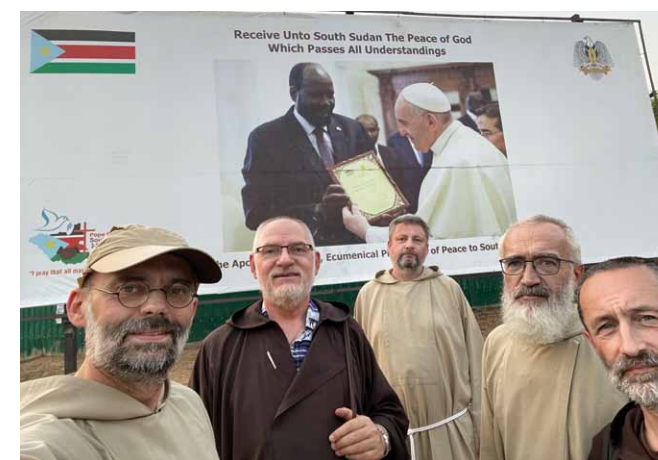


**„Miłość, nadzieja, pokój, pojednanie,
przebaczenie, jedność”**

- ekumeniczna wizyta papieża Franciszka w Południowym Sudanie

pisze br. Augustyn Chwałek

W niedzielę 22 stycznia wyładowaliśmy w stolicy Sudanu Południowego – Dżubie. „My”, czyli bracia kapucyni z Polski, którzy przylecieli dać początek nowej wspólnotcie naszego Zakonu w najmłodszym kraju świata. Kiedy jechaliśmy z lotniska, z banerów ustawionych wzdłuż ulic pozdrowiał nas papież Franciszek wraz z anglikańskim arcybiskupem Justinem Welbym i moderatorem Kościoła prezbiteriańskiego Ianem Greenshieldem. Nasz przyjazd zbiegł się z historyczną ekumeniczną wizytą trzech przedstawicieli głównych Kościołów chrześcijańskich w Sudanie Południowym w dniach 3–5 lutego. Przyjechali, aby wesprzeć swoich wiernych w trudnej i żmudnej drodze budowania pokoju. Byliśmy naocznymi świadkami tego wydarzenia.



Bracia uczestniczyli w pielgrzymce papieża

„Kto zaprowadza pokój...” – spotkanie z politykami (piątek 3 lutego)

Po przyjeździe do Sudanu Południowego usłyszeliśmy, że jest to pierwsze i najważniejsze spotkanie trójki wyjątkowych gości podczas całej wizyty. „Pokój jest w waszych rękach”, powiedział politykom przedstawiciel Kościoła prezbiteriańskiego. Choć takie jest ogólne przekonanie mieszkańców Sudanu Południowego, to jednak większość nie wierzy, że obecni rządzący są zdolni do zaprowadzenia pokoju. Daj Boże, aby słowa, które usłyszeli politycy tego kraju, wraz z działaniem Bożego Ducha przemieniły ich serca i umysły. „Szanowni przedstawiciele władz”, powiedział rządzącym papież Franciszek, „przyszłe pokolenia będą czyły wasze imiona lub zatrą pamięć o nich, w zależności od tego, co zyczynie obecnie. Bo tak jak rzeka [Nil] opuszcza swoje źródła, by rozpocząć swój bieg, tak bieg historii pozostawi

za sobą wrogów pokoju, a uhonoruje tych, którzy działają na rzecz pokoju. Bowiem, jak uczy Pismo Świąte: »kto zaprowadza pokój, zostawi potomstwo« (por. Ps 37, 37)...”.

„Wyznajemy, że zabijamy się wzajemnie dzień i noc...” – modlitwa ekumeniczna (sobota 4 lutego)

Najbardziej w mojej pamięci pozostanie sobotnia modlitwa ekumeniczna. Wieczorna pora sprzyjała modlitewnej atmosferze, a lekki chłód po zachodzie słońca przyniósł ulgę i orzeźwienie dla ciała. Na miejscu przewodniczenia liturgii siedział papież, mając u boku z jednej strony arcybiskupa Welby'ego, a z drugiej moderatora Greenshielda. Liturgia słowa wyrażała przewodni motyw pielgrzymki: „Ojcze, spraw, aby byli jedno” (J 17).

Kulminacyjnym momentem, w moim odczuciu, była modlitwa wstawiennicza o uzdrowienie mieszkańców Sudanu Południowego. Siedmiu przedstawicieli różnych Kościołów chrześcijańskich odczytywało swoją modlitwę, po czym wylewało wodę pod drzewko posadzone na znak jedności. Modlitwy odbijały najgłębsze potrzeby tego ludu. Oto fragment modlitwy przedstawiciela Kościoła prezbiteriańskiego, która utkwiła mi w pamięci:

„Wyznajemy, że zabijamy się wzajemnie dzień i noc. Uzdrów nas z tej traumy! Nasz lud jest przeniknięty nienawiścią i trybalizmem. Ulecz nas z traumy, które one powodują! Nasz lud musiał uciekać do sąsiednich krajów albo wewnątrz kraju. Uzdrów nas z traumy przesiedleń i niepewności! Nasz lud cierpi z braku pożywienia i schronienia... Przez tę eklezjastyczną modlitwę uzdrów naszą ziemię z każdej traumy bólu i cierpienia!”.



Modlitwa ekumeniczna

1,7 mln ludzi w obozach – spotkanie z przesiedleńcami wewnątrz kraju (sobota 4 lutego)

Ludność Sudanu Południowego liczy około 12 milionów, z czego 2,3 miliona jest uchodźcami w sąsiednich krajach, a 1,7 miliona mieszka w obozach dla przesiedlonych wewnątrz kraju. Znaleźli się tam z powodu wojny domowej, a ostatnio również z powodu powodzi, które odebrały im nawet to „niewiele”, jakie posiadali. Już przeszło dziesięć lat prawie dwa miliony ludzi żyje w nieludzkich warunkach. Stłoczeni na niewielkiej powierzchni, przyzwyczajali się do wegetacji, żywiąc się tym, co dostarczą im organizacje pomocowe. W obozach urodziły się już dzieci, które nie znają innego świata... Mówi się, że jest to „stracone” pokolenie, które nie wie, co to normalne życie we własnym, rodzinnym domu.

Papież chciał odwiedzić obóz pod Dżubą, ale – niestety – nie doszło do tej wizyty. Wykorzystując dobry klimat po wizycie papieża, prezydent Salva Kiir postanowił pierwszy raz odwiedzić obóz pod stolicą. Nie był tam od momentu powstania obozu, czyli przez dziesięć lat. Trudno się dziwić – to właśnie jego ludzie sprawili, że ten obóz powstał. Wizyta była zaplanowana na niedzielę 19 lutego, potem została przeniesiona na niedzielę 26 lutego.... Jeśli w ogóle dojdzie do skutku, będzie to mały cud spowodowany wizytą papieża.



Malakal obóz uchodźców

„Młodzi mężczyźni – szanujcie i czcijcie kobiety” – w imieniu kobiet Sudanu Południowego

Przedstawiciele trzech Kościołów stali się głosem kobiet, które szczególnie niosą w sobie traumę wojny oraz ostatnich kataklizmów, a przy tym heroicznie troszczą się o swoje rodziny, nierzadko doznając i w nich wiele cierpienia. Ile razy w przemówieniach papieża czy też arcybiskupa pojawiał się temat obrony, wdzięczności i szacunku do kobiet w tym kraju, tyle razy słyhać było spontaniczne okrzyki i oklaski kobiet.

W sobotni wieczór arcybiskup Welby zwrócił się do młodych mężczyzn: „Macie czcić i szanować kobiety! Nigdy nie wolno wam ich gwałcić, używać przemocy, być wobec nich okrutnymi, nigdy używać do własnej przyjemności...”.



Na Mszy św. z papieżem

Papież Franciszek podczas spotkania z osobami przesiedlonymi wewnątrz kraju usilnie wołał: „Ale proszę was, błagam wszystkich mieszkańców tych ziem: niech kobieta będzie chroniona, szanowana, ceniona i otaczana czcią. Proszę was: chrońcie, szanujcie, doceniajcie i oddawajcie cześć każdej kobiecie – dziecku, dziewczynie, młodej, dorosłej, matce, babci. Bez tego nie będzie przyszłości”.

Pielgrzymka ekumeniczna papieża Franciszka oraz arcybiskupa Justina i moderatora Iaina wzbudziła wiele nadziei w mieszkańcach Sudanu Południowego. Oby stała się tym, czym dla nas, Polaków, była wizyta Jana Pawła II w 1979 roku: mocnym powiewem Ducha Świętego, który zapoczątkował nowy rozdział w toczących się przemianach. Niestety, w wielu sercach pobrzmiewają nuty zwątpienia w możliwość jakiegokolwiek zmiany. Dużo było już prób zaprowadzenia pokoju, które się nie powiodły. A jednak chrześcijańska nadzieja nigdy nie gaśnie i ma siłę przemienić to, co beznadziejne, w światło nadziei. Udało się to św. Bakhicie, która dzięki Duchowi Bożemu przemieniła doznane cierpienia i upokorzenia w chrześcijańską nadzieję. Niech ta szczególna kobieta wstawia się za swoimi rodaczkami i rodakami, aby w ich życiu dokonał się podobny cud przemiany. Bakhita mi buoy, lammi ke ko! ! Święta Bakhito, módl się za nami!



Po spotkaniu z papieżem



Ngaoundaye – paroisse de la résistance – czyli wojna wojną, a żyć trzeba...

pisze br. Maciej Jabłoński



Domyślam się, że niejednen czytelnik może być już zmęczonym słuchaniem o wojnie. Wszak wielu Polaków nie tylko na co dzień mierzy się z doniesieniami zza wschodniej granicy, lecz jest także czynnie zaangażowanych w niesienie pomocy. Jeden z braci kapucynów mieszkających w Ukrainie każdego dnia wysyła nam na pocztę elektroniczną wiadomość, której swoistym refrenem są słowa: „Żyjemy na wojnie, nie żyjemy wojną”. Słowa te stały się dla mnie zachętą do opisanie Wam, jak to w parafii Ngaoundaye staramy się nie żyć wojną...



Spalona wioska Berewok

Nie czuję się na siłach, by opisać Wam wszystkie kulisy toczącej się u nas wojny, marny ze mnie historyk. To, co dla mnie jest istotne, to fakt, że mieszkańcy mojej parafii od ponad dwóch lat żyją w ciągłym strachu i niepewności jutra. Aktorów w tym teatrze wojennym jest wielu.

Są rebelianci, w naszym przypadku z grupy 3R, którzy do niedawna przypominali raczej strukturę mafijną, trudniącą się ściąganiem haraczu z pasterzy bydła – Mbororo. Niestety, zdążyli się oni zapisać na kartach historii jako zwyrodnialcy pacyfikujący wioski, strzelający do kobiet i dzieci, hańbiący kobiety w ich własnych domach, podkładający miny na drogach.

Dalej mamy najemników z osławionej ostatnio Grupy Wagnera. Ich przemarsz przez Ngaoundaye półtora roku temu dał się bardzo we znaki lokalnej wspólnotie. Porównać by go można jedynie z najazdem Hunów czy Armii Czerwonej. Kradzieże, gwałty, samosądy, egzekucje przez pijanych

żołdaków były na porządku dziennym. Dziękować Bogu, po jakimś czasie zabrali oni swoje zabawki wojenne i przenieśli się dalej od nas, na obrzeża naszej parafii, bliżej granicy z Kamerunem.

Mamy też lokalne wojsko środkowoafrykańskie FACA. Niestety, ci, z którymi mamy do czynienia, to zbieranina eks-rebeliantów różnej maści, po trzy miesięcznym przeszkoleniu, wysłanych do nas na front pod kontrolą zaledwie kilku żołnierzy, którzy mogą się pochwalić jakimkolwiek stażem wojskowym. Dla mnie osobiście przykre jest to, że te dzieci swego kraju bez najmniejszych skrupułów okradają własnych współziomków. W wypadku zaś, gdy dochodzi do potyczki z rebeliantami, ci dzielni wojacy biorą nogi za pas jeszcze przed kobietami i dziećmi.

Do tego malowniczego pejzażu dodać należy prostych, Bogu ducha winnych mieszkańców parafii Ngaoundaye. Od lat żyją oni w klinczu. Z jednej strony – pasterze krów z plemienia Mbororo, którzy niszczą bezpardonowo ich pola, źródło utrzymania dla 99 procent populacji. Z drugiej strony – broniący pasterzy rebelianci, którzy w zamian za haracz pilnują, by nikt nawet nie śmiał podnieść głosu, domagając się przestrzegania prawa i wynagrodzenia strat. Mam w parafii mieszkańców, którzy od czterech lat co roku tracą wszystkie zasiewy. Jak oni żyją? Chyba tylko z miłości Pana Boga.

Ludzie przyzwyczaili się już do wojny. Dzieci nie reagują na wystrzały, stały się one czymś normalnym... Nad ludzkimi tragediami niemal natychmiast przechodzi się do porządku



W opuszczonej wiosce



dziennego. To chyba jakiś podświadomy mechanizm psychologiczny, który pomaga nie zwariować. Sam niekiedy wspominam i podchodzę do poszczególnych wydarzeń humorystycznie. Pewnego wieczoru właśnie miałem wziąć prysznic, gdy rozległy się zmasowane strzały. Pomyślałem: „Oho, chyba mamy atak”. Przepasawszy biodra ręcznikiem, wyszedłem na zewnątrz, by wysłać wiadomości na WhatsApp, tak by biskup i bracia misjonarze wiedzieli, że coś się święci. Kolejna myśl, która przyszła mi do głowy, była następująca: muszę wziąć ten prysznic, bo nie wiadomo, kiedy znowu nadarzy się taka okazja. Później okazało się, że nie był to atak rebeliantów, a jedynie powrót pijanych żołnierzy, którzy strzelali na wiwat. Oni mieli się świetnie, ja następnego dnia w szpitalu miałem osiemnastu rannych (rany cięte, stłuczenia, złamania), którzy odnieśli obrażenia, uciekając w nocy, w popłochu, do buszu.

W ciągu roku w mojej parafii zginęło około 300 osób (Panie, daj im niebo+). Liczba dzieci, które straciły rodziców, kobiet, które zostały wykorzystane seksualnie, rannych dorosłych i dzieci – wszystko to jest jeszcze trudne do oszacowania.

Ludzie zewsząd przynoszą przykre wieści o śmierci, spacyfikowanych wioskach, spalonych domach i uprawach, rolnikach zabitych na polach maczetami. Nigdy nie zapomnę historii, która wydarzyła się w Mbinaye. Rebelianci przyszli w nocy do domu jednego z naszych chrześcijan. Najpierw okaleczyli jego dzieci, potem zamordowali żonę, na koniec zabili jego samego, zmusiwszy go wcześniej, by patrzył na cierpienie i śmierć swoich bliskich. Gdy spotkałem te dzieci w szpitalu – w szoku, nie tylko z powodu ran fizycznych – pozostało mi tylko przytulić je i płakać razem z nimi. Straszne to wszystko... Niewyobrażalne okrucieństwo!

Pomimo tego wszystkiego, życie płynie nadal.



Grupa rebeliantów



Mina na drodze

Niesamowitą jest dla mnie odwaga tych ludzi, którzy tracąc raz po raz wszystko, co mają, płaczą... i zaczynają od nowa. Jedni umierają, drudzy się rodzą. Zniszczone pola są obsiewane na nowo, życie w wioskach zamiera i odradza się, niczym sawanna po porze suchej, wraz z pierwszymi kroplami deszczu (pierwszych opadów spodziewamy się w okolicach 15 kwietnia, nie pada od 24 października).

Praca duszpasterska posuwa się naprzód tam, gdzie tylko się da. W niektórych wioskach znowu nie byłem od roku i czterech miesięcy. Były przymiarki, by się tam wybrać, ale w ostatniej chwili otrzymałem informację, że droga jest zaminowana albo że rebelianci atakują mieszkańców, którzy uciekli ze swoich domów, by schronić się w buszu. W najbliższej placówce, w Boyangou, nowe, dopiero co przywiezione i jeszcze nie zamontowane ławki stały się opałem dla wagnerowców, farby do malowania kościoła „dostały nóg”, a sam kościół, jak mi zrelacjonowano, został „udekorowany” śladami kul z AK47. W Mberewock obraz Jezusa Miłosiernego otrzymał cięcia maczetą – nieuchronnie kojarzy mi się to z historią jasnogórskiej Czarnej Madonny... Mamy Wielki Post, czas egzaminów dla katechumenów i egzaminów przed chrztem. Ludzie szukają Boga, przygotowują się do sakramentów. W tygodniu po Wielkanocy zamierzamy zorganizować tzw. Wielką Konferencję, czyli spotkanie dla wszystkich wspólnot i miejscowości naszej parafii, które zakończymy w Niedzielę Miłosierdzia chrztami, ślubami, a po wszystkim – także wielką potańcówką pod gołym niebem.

Pan Bóg JEST!



Każdy dzień to nowe twarze...

pisze br. Piotr Michalik z Melen w Gabonie

Pokój i Dobro! Opatrzność sprawiła, że od końca czerwca 2021 roku jestem na przedmieściach Libreville. Początkowo zastępowałem tu współbrata, który wyjechał do Polski, by zaopiekować się swoją mamą, cierpiącą z powodu powikłań pocovidowych (i która ostatecznie zmarła w sierpniu tegoż roku...). Dzielnica nosi nazwę Melen, a mi przypadła rola... kustosa narodowego sanktuarium maryjnego: Narodowego Sanktuarium Najświętszej Marii Panny Gabonu. Jestem tu sam, ale wiercie mi – na samotność wcale nie narzekam, tylu ludzi spotykam...

Trochę historii

Najpierw w kilku słowach opowiem o samym sanktuarium. W 1986 roku jedno z żeńskich zgromadzeń świętowało 100-lecie obecności na ziemi gabońskiej. Z tej okazji siostry, wspólnie z biskupem, otworzyły na wzgórzu miejsce pielgrzymek: mały hangar ochraniający dużą statuetkę Matki Bożej oraz skromną Kalwarię wzdłuż drogi prowadzącej na szczyt wzniesienia. Dopiero w 2002 roku, wraz z poświęceniem tego miejsca pieczy kapucynów, stało się ono prawdziwym centrum duchowości dla stolicy i najbliższej okolicy. Duża w tym zasługa br. Jarka, który potrafił właściwie animować duszpasterstwo przy sanktuarium.

Lud się modli

Jak tylko się tu pojawiłem, jedna rzecz od razu rzuciła mi się w oczy: ludzie tutaj się modlą. Obojętnie, o której go-



Całodzienna adoracja

dzinie bym nie wyszedł z domu, widzę modlące się osoby: Droga Krzyżowa na naszej małej Kalwarii, osobista modlitwa lub medytacja pod krzyżem przed sanktuarium, adoracja Najświętszego Sakramentu (jest tu całodzienna), różaniec odmawiany w krągankach.... Z Biblią, różańcem lub modlitewnikiem w ręku. Śpiewające lub rozmawiające z Bogiem na głos. Samotnie lub w małych grupkach. Na klęczkach, boso lub leżąc krzyżem, nieraz godzinami. Regularnie widziałem, jak ktoś swoje długie trwanie przed Panem przerywał i kładł się na ławce, by uciąć sobie krótką drzemkę. Kiedyś schodziłem do miasta na małe zakupy. Mijam jedną panią – klęczy przed trzecią stacją i żarliwie się modli. Kiedy wracałem z zakupów, była dopiero przy szóstej czy siódmej stacji. A moje zakupy trochę trwały...

Niby wiedziałem, ale dopiero tutaj naprawdę przekonałem się, że oprócz klasycznej Modlitwy Różańcowej i Koronki do Miłosierdzia Bożego istnieją również Różańce do Matki Bożej Bolesnej, do św. Józefa, do Krwi Jezusa, za zmarłych, nie mówiąc o nowennach i litaniiach w różnych intencjach i do różnych świętych...

Wytańczona modlitwa

W któryś piątek, jeszcze niezupełnie rozbudzony, poszedłem do kościoła na poranną Mszę św. Na drodze dojazdowej zauważyłem kilka osób, które w skupieniu, na klęczkach, odprawiwały Drogę Krzyżową. Gdy wszedłem do kościoła, przed prezbiterium widzę młodą kobietę, która tańczy i ładnie śpiewa. W tym momencie była jeszcze sama w świątyni. Było to radosne wielbienie Pana. To była jej modlitwa. Czy miałem ją upomnieć, by uklękała i przybrała ponury wyraz twarzy i w ten sposób się modliła? Niech mnie ręka Boska broni! To była jedna z piękniejszych modlitw, jakie widziałem!

Suchutka rączka

Ponieważ co kraj, to obyczaj, więc pytałem, kogo mogłem, jakie w Melen panują zwyczaje liturgiczne i nie tylko liturgiczne. Nie lubię, zjawiając się w nowym miejscu, robić rewolucji. Raczej staram się docenić sposób wyrażania wiary charakterystyczny dla miejscowej ludności oraz uszanować to, co moi poprzednicy już zrobili, i kontynuować ich dzieło, dopiero z czasem ewentualnie proponując coś nowego... Tak więc po zakończeniu pierwszej niedzielnej Mszy św., w zakrystii, nie spiesząc się, dopytuję o różne szczegóły. W pewnym momencie jeden z ministrantów daje znać, że

ludzie przed ołtarzem czekają na poświęcenie dewocjonalików. Pomyślałem, że pewnie będzie to kilkoro parafian, którzy chcą, by poświęcić wodę albo różaniec. Jednak gdy wyszedłem z zakrystii, zobaczyłem dobrze ponad sto osób, które cierpliwie na mnie czekały. Niektóre miały w ręku dewocjonalia, ale byli też wśród nich maturzyści z długopisami i zeszytami (nazajutrz rozpoczynają się egzaminy maturalne) oraz dzieci, które miałem pobłogosławić. Po modlitwie i pokropieniu wodą święconą większość ludzi się rozeszła. Podeszła jednak do mnie mama ze swoimi kilkuletnimi dziećmi i jedna z jej córek rezolutnie poinformowała mnie, że żadna kropla wody święconej na nią nie spadła, po czym pokazała paluszkami swoją suchutką rączkę. Zawołałem ministranta, by jeszcze raz przyszedł z wodą święconą, i tym razem naprawdę jej nie żałowałem... Dzieci były wniebowzięte.

Nasze babcie i dziadkowie

Regularnie proszono mnie, by odwiedzać ludzi starszych i schorowanych. Byłem w prywatnych domach, ale również na oddziale geriatrycznym w szpitalu. Catherine, Jean-Claude, Delphine, Germaine, Philippe, Marie, Joséphine i inni – staram się zapamiętać ich imiona i twarze. To, co mnie uderzało, to pokój i wiara, jakie te osoby miały w swoim sercu. Byli wdzięczni, że przez moją posługę mogą sakramentalnie spotkać się z Jezusem. Zauważyłem, że są otoczeni troskliwą opieką najbliższych (w domach) lub personelu (w szpitalu) – widać, że osoby starsze obdarza się tu dużym szacunkiem. Pewnie nie wszędzie i nie zawsze tak jest, ale moje pierwsze spostrzeżenia były właśnie takie.



Z wizytą u Joséphine

Z upływem lat stwierdzam, że mam coraz więcej współczucia i empatii dla ludzi starszych, schorowanych... Czyżby dlatego, że sam powoli zaczynam doświadczać ciężaru wieku i chorób? Być może. Szkoda, że człowiek musi czegoś doświadczyć na własnej skórze, by to zrozumieć. W każdym razie – lepiej późno niż wcale.

Młody śmieciarz

Wracam z siostrą Paulą od chorej babci Germaine. Idziemy wzdłuż głównej, wylotowej ulicy Libreville. Co chwilę ktoś nas pozdrawia, niektórzy, widząc mój habit, raczej niezwykajny tutaj, upewniają się, czy aby na pewno jestem księdzem katolickim (jest tu sporo różnych, nieraz dziwnych Kościołów...). W pewnym momencie mijamy pana zatrudnionego do sprzątania ulic. Przechodząc obok, trochę żartobliwie, wołam do niego: „Dzień dobry, papa”. A on, przerywając swoją pracę, spojrzał na mnie poważnie i powiedział: „To wy jesteście ojcem, a ja jestem waszym synem”. Rzeczywiście, był to młody mężczyzna, a ja, no cóż, już pewnie mam więcej siwych niż czarnych włosów na głowie. Jednak chyba nie tym kierował się, odpowiadając mi w ten sposób. Tutaj większość ludzi (może z wyjątkiem tych z Kościołów zielonoświątkowych) ma wielki szacunek do kapłanów. Zdarzało mi się, że jakiś policjant zatrzymywał mnie do kontroli, ale jak tylko zorientował się, że jestem księdzem, natychmiast zmieszany przeproszał mnie za zatrzymanie i pozwalał odejść...

Mężczyzna, który sprzątał ulicę, nie poprzestał na odpowiedzi, ale uklęknął, czekając, abym go pobłogosławił... Co oczywiście pobożnie, szczerze i z całą sympatią uczyniłem.

Esther nocą nie śpi

Pewnego dnia siostra Paula opowiedziała mi o 11-letniej dziewczynce o imieniu Esther. Było to dziecko zaangażowane w parafii, pochodzące z ubogiej rodziny, w którego domu było prawdziwe przedszkole... Otóż Esther od tygodni nie spała w nocy, tylko krzyczała. Była niespokojna, przestraszona, a po kilkunastu bezsennych nocach także zmęczona, przygnębiona i obolała. Umówiliśmy się, że przyjdzie do mnie następnego dnia. Czekala na mnie po porannej Mszy św. Z mamą Niną, babcią Marianne (katechistką) i dwiema siostrami: Marie Reine i Jadisia. Usiedliśmy na ławeczkach przed kościołem i rozpocząłem rozmowę z Esther. Trochę spięta, zaczęła w końcu opowiadać. Oto co mi powiedziała: w nocy przychodzą do niej ludzie i ją dręczą, torturują. Pytam: kto? A ona odwraca się, wskazuje na swoją babcię i mówi: „To ona...” I było oczywiste, że nie działa się to realnie, ale w wizji, koszmarze, który przeżywała.

Poszliśmy do kościoła i pomodliliśmy się za nią, by odzyskała spokój wewnętrzny – by to co było powodem cierpienia, ją opuściło. A jaki to był powód? Nigdy nie byłem zwolennikiem powiedzenia: „hulaj dusza, diabła nie ma”, a w Afryce tylko się w tym utwierdziłem. Nie żebym wszędzie go widział, zawsze najpierw sprawdzam inne hipotezy (zwłaszcza medyczne czy psychologiczne), ale niekiedy człowiek naprawdę nie wie, co o pewnych sytuacjach sądzić... I wtedy wniosek nasuwa się sam: „choroba mistyczna”. Tak tu nazywają cierpienia ludzkie, które nie są spowodowane chorobami leczonymi przez medycynę klasyczną. Nieraz zdarzało mi się, że osoba, która przyszła do mnie, wcześniej była wielokrotnie w szpitalu, gdzie starano się zdiagnozować jej dolegliwości, ale za każdym razem słyszała od lekarza, że



W domu Esther - z Ange i Angèle

niczego nie wykryto, że to „choroba mistyczna”. I tu dochodzimy do sfery czarnej magii, czarów. Niektórzy w Europie, również zaangażowani chrześcijanie, nie wierzą w takie rzeczy... Czy słusznie? Według mnie nie. Coś jest na rzeczy. I Biblia ostrzega przed tym. Jezus pokonał szatana, ale on, jak zraniony śmiertelnie lew, ostatnimi siłami próbuje jeszcze rozszerzać zło. Ja w każdym razie nie wyrokuję szybko i na głos, jaka jest przyczyna czyjegoś bólu, bo mogę się mylić w moim rozeznaniu, ale w modlitwie proszę o uwolnienie od źródła cierpienia, niezależnie jakie ono jest.

Po modlitwie porozmawialiśmy jeszcze chwileczkę i pół żartem, pół serio zapytałem Esther, czy w najbliższą niedzielę zaprosi mnie do siebie na kawę (za pozwoleniem rodziców). A ona zdecydowanym głosem spytała, czy przyszedłbym pobłogosławić pokój, w którym śpi. Pytam: kiedy? Odpowiada: jutro. Następnego dnia z siostrą Paulą jako przewodniczką (jest tu już od wielu lat i wszystkich zna) poszedłem więc do tej rodziny. Droga dość długa, wchodzimy w głąb ubogiej dzielnicy, ale kiedy stajemy przed domem Esther, ubóstwo tego miejsca przewyższa wszystkie inne w okolicy. Drewniana, niska chałupa, wielokrotnie łatana kawałkami dykty i desek. Cała rodzina była postawiona na baczność i czekała na nas, mając na sobie najlepsze ubrania, jakie mieli (dobrze że s. Paula powiedziała mi o tym, bo sam nie domyśliłbym się, że to są najlepsze stroje, jakie posiadają...). Od razu dowiedziałem się, że tej nocy Esther spała spokojnie. Chwała Bogu! Jednak widzę, że nadal jest spięta – potrzeba czasu, by odzyskała radość życia.

Pomodliliśmy się, poświęciłem wszystkie pomieszczenia w domu i całym obejściu. Ciasne pokoiki, w każdym – jak

mi się zdawało – spało po dwoje dzieci; jedno, duże łóżko pośrodku zajmowało prawie całą przestrzeń. Ubrania wisiały na sznurkach rozwieszonych wzdłuż pokoju, zeszyty do szkoły i inne nieliczne przybory złożone były w jednym kącie, bezpośrednio na ziemi albo na małej szafce nocnej. I to wszystko... Po modlitwie usiedliśmy jeszcze na chwilę. Poproszono mnie o błogosławieństwo dla czteromiesięcznych bliźniaków Ange i Angèle. Przesympatyczne bobaski – oczywiście z radością pomodliłem się w ich intencji. A w międzyczasie s. Paula rozdała pączki kupione po drodze i małe herbatniki. Herbatnikami częstowała Esther. Małe ciastko dzieliła ostrożnie na 4-6 części i rozdawała swojemu młodszemu rodzeństwu i kuzynostwu... Szok... Chwilę później podeszła do mnie babcia Marianne, by wręczyć małą ofiarę. Podziękowałem, ale powiedziałem, by te pieniądze zatrzymała i kupiła coś dobrego dla dzieci.

W następną niedzielę po Mszy św. Esther przyszła mnie przywitać. Nadal była załężniona i... głodna. Dopiero podczas kolejnych spotkań rozluźniła się i stała się bardziej radosna. Bardzo się z tego cieszyłem.



W domu Esther

Każdy dzień to nowe twarze, imiona i historie ludzkie, nierzadko bardzo zawiślane. Często przychodzą tutaj, do sanktuarium, bo albo dosięgli dna, albo są na zakręcie życiowym, albo nie wytrzymują już cierpienia, jakiego doświadczają. I są przeświadczeni, że tylko Bóg może wnieść jakieś światło w ich życie, a ja mam pomóc im na nie się otworzyć. Tutaj jeszcze bardziej uświadamiam sobie, po co jestem kapłanem, zakonikiem i że nie ma nic ważniejszego w moim życiu...

Pozdrawiam Was serdecznie, niech Pan okaże Wam swe pogodne oblicze!

br. Piotrek

Do tej pory do akcji zbierania funduszy na projekt misjonarzy włączyli się zarówno ci, którzy kupują słodczyce, jak i ci, którzy odmawiają sobie tej przyjemności. Ponad 5 tys. osób indywidualnych wsparło naszą akcję! Do pomocy afrykańskim rówieśnikom przyłączyli się również uczniowie z ponad 360 szkół i przedszkoli w całej Polsce.

Jesteśmy poruszeni tegorocznym odzewem tak wielu ludzi, którzy na apel misjonarzy kapucynów pracujących w Afryce, wpłacili darowizny i w ten sposób przyłączyli się do pomocy ludziom ubogim i potrzebującym. Akcja nadal trwa, do momentu aż uzbieramy 100% środków potrzebnych na projekty misjonarzy: na posiłki dla głodujących dzieci, na czesne w szkole, na budowę studni, świetlicy, dwóch przedszkoli i kaplicy.

„Wszystko co uczyniliście jednemu z tych braci moich najmniejszych, Mnieście uczynili” (Mt 25,40)

pisze s. Mariola Syjud CMBB, Katecheta ZST Fablok w Chrzanowie:

Jeśli prawdą jest, że każdy gest dobra, nawet najmniejszy, zmienia czyjś świat, to my (wolontariat wraz z samorządem szkolnym) z radością i entuzjazmem zmieniliśmy świat potrzebującego, głodnego dziecka. Zorganizowaliśmy (jak w zeszłym roku) w ZST Fablok w Chrzanowie akcję „Pączek dla Afryki” wymyśloną przez Fundację Kapucyni i Misje. Na korytarzach szkolnych pachniało wówczas jak w renomowanej cukierni. W tym roku dzieci z Republiki Środkowej Afryki przez misjonarzy proszą: „Chcemy się uczyć pomóż nam”. Przez trzy dni Społeczność Szkolna zjadała się pysznymi pączkami i składała darowizny! Wiemy z pewnego źródła, że nasze darowizny wystarczą na utrzymanie jednego dziecka w szkole przez cały rok, zakup wyprawki szkolnej, mundurka i ciepłego posiłku! Cieszy nas fakt, że w ten sposób zmieniliśmy świat chociaż jednego dziecka.



„Pączkowanie” w Zespole Szkół w Zembrzycach.



Akcja „wyślij pączka do Afryki” w Zespole Szkół Specjalnych nr 11 w Krakowie.

pisze p. Teresa Gromada, pedagog i nauczycielka języka angielskiego w Szkole Podstawowej im. Prof. Andrzeja Waksmundzkiego w Ostrowsku:

Uczniowie naszej szkoły i my ich opiekunki: polonistka i wychowawczynie klasy VI – Urszula Dębska-Ciężobka i ja, mieliśmy znowu wielką satysfakcję mogąc włączyć się do akcji „Pączek dla Afryki 2023”. Przy okazji zbiórki dla potrzebujących w Afryce, chcieliśmy też pokazać młodym ludziom w naszej szkole jakimi są szczęściami – żyją w bogatej części świata, na szczęście bez wojny (choć ta toczy się blisko – w Ukrainie), mają rodziców, dom, wszystko, co potrzebne do spokojnego i dostatniego życia i mogą się poświęcić zdobywaniu wiedzy, nauce – ich jedynemu obowiązкови (choć najczęściej tego nie dostrzegają). Za takie warunki życia i możliwości rozwoju, ich rówieśnicy w biednych rejonach świata wiele by oddali.

Akcję urządziliśmy nieco później, nie w „tłusty czwartek”, ale tym razem łącząc polskie „ostatki” z angielskim „Pancake day”, tuż przed pierwszym dniem Wielkiego Postu. Głównymi organizatorami szkolnej akcji były uczennice i uczniowie klasy VI, którzy zebrali potrzebne składniki, a następnie usmażyli i udekorowali naleśniki dla wszystkich uczniów i pracowników naszej szkoły. Do pomocy włączyli się uczniowie klasy IV i V w charakterze kelnerów i kelnerów oraz zbierających datki do skarbonki. Wszystko odbyło się bardzo sprawnie, a naleśniki chyba smakowały, bo zniknęły w dosyć szybkim tempie. Temperatura w miejscu smażenia naleśników – szkolnej stołówce była wręcz upalna, a szkoła wypełniła się zapachami, jak we francuskich naleśniarniach „crêperies”. Mówiąc krótko – było gorąco, smacznie i wesoło. A pomaganie chyba zaczyna naszym uczniom wchodzić w krew, bo szóstkłasiści już zaplanowali „menu” na przyszłoroczną akcję pączkowania dla Afryki. Na pytanie starszych kolegów, kiedy oni będą mogli też zrobić coś podobnego, odpowiedzieli im stanowczo: „Nigdy! To nasz sprawa!”.

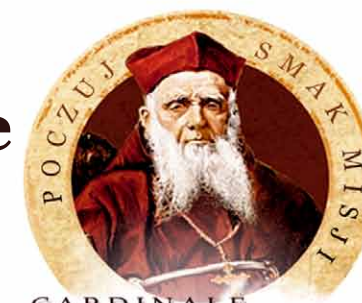
Jeszcze raz dziękujemy Waszej Fundacji za pomysł tej akcji i możliwość brania w niej udziału, za Wasze materiały, pomocne filmiki, które uczniowie chętnie oglądali domagając się „proszę pani, a jeszcze ten filmik i tamten...”

Kupując kawę pomagasz dzieciom w Afryce

ZAPRASZAMY do sklepu: www.sklep.kapucyni.pl

tel. 12 623 60 50 wew.132

Każdy, kto kupi paczkę kawy Cardinale Massaia funduje posiłki dla osieroconych dzieci w Republice Środkowoafrykańskiej



CARDINALE
Massaia



Zdecyduj się i pomóż!

SEKRETARIAT MISYJNY Zakonu Braci Mniejszych Kapucynów – Prowincji Krakowskiej

opiekuje się misjonarzami pracującymi na kontynencie afrykańskim w Republice Środkowoafrykańskiej i Republice Czadu.

Wspieraj misję swoją modlitwą, pracą i ofiarą.

Sekretariat Misyjny Kapucynów
ul. Korzeniaka 16, 30-298 Kraków
PKO BP: 97 1020 2892 0000 5502 0016 6371

FUNDACJA KAPUCYNI I MISJE

zajmuje się organizowaniem i niesieniem pomocy humanitarnej, dobroczynnej i charytatywnej ludziom potrzebującym w krajach afrykańskich, w których pracują misjonarze z Zakonu Braci Mniejszych Kapucynów.

Przyłącz się do nas już dziś!

Fundacja Kapucyni i Misje
ul. Korzeniaka 16, 30-298 Kraków
PKO S.A. 47 1240 4533 1111 0010 3492 9934
www.fundacja.kapucyni.pl



KRS: 0000356850

Biuletyn „Kapucyni i misje”

Za zgodą władzy zakonnej.
Do użytku wewnętrznego Kościoła.
Koszt prenumeraty to dowolna ofiara na pokrycie wydatków związanych z drukiem.

Wydawca:

Sekretariat Misyjny, ul. Korzeniaka 16
30-298 Kraków, tel. (+48 12) 623 60 50 wew.132
e-mail: misje@kapucyni.pl
www.misje.kapucyni.pl

Redakcja:

br. Jerzy Steliga OFM Cap (red. naczelny)
Diana Bonowicz
Nakład: 7000 egz.

Skład i druk:

Studio Graphito, tel. 71 310 21 65





TWOJE 1,5%

DOKONA WIELKIEJ ZMIANY

nakarmimy dzieci
zbudujemy szkoły
zbudujemy studnie

**PRZEKAŻ 1,5% PODATKU NA RZECZ FUNDACJI
KAPUCYNI I MISJE KRS: 0000356850**



FUNDACJA
KAPUCYNI I MISJE

PRZYŁĄCZ SIĘ DO MISJONARZY KAPUCYNÓW!
www.fundacja.kapucyni.pl